

# Madidi

Jest wczesny ranek, ciemno, zimno, z nieba sypie śnieg. Stoimy na rogu Avenida Kollasuyo w peryferyjnej dzielnicy La Paz noszącej niezbyt przyjemną nazwę – Cmentarna. Wraz z nami stoi jeszcze kilkoro Indian Aymara, wszyscy czekamy na autobus do Pelehuco, który kursuje tylko raz w tygodniu. Jest to jedyny publiczny środek transportu docierający do tej odległej osady. Jeśli nie pojedzie, będziemy musieli czekać następny tydzień. Zaczynamy się denerwować, pytamy Indian – odpowiadają, że na pewno pojedzie. – *Hora no tiene importancia aqui* – przecież nikt tu nie ma zegarków.

Pelehuco położone jest w dolinie rzeki o tej samej nazwie w centralnej części Cordillery Apolobamby na wysokości 3600 metrów n.p.m. Tutaj rozpoczyna się bardzo rzadko uczęszczany szlak, opisany przez Yossiego Braina w przewodniku "Trekking in Bolivia. A Travel-



## Podniebnym szlakiem

PIOTR OPACIAN

ler's Guide". Wiedzie on z Altiplano, płaskowyżu leżącego na wysokości około 4000 metrów, przez pasmo Kordyliery Wschodniej do południowo-zachodniego basenu Amazonii. Z wysokości 5000 metrów, gdzie mróz i bezlitosny wiatr uczą pokory tych, którzy mieli czelność wtargnąć w granice ich królestwa, opada stokami wschodnich Andów do spowitej chmurami nizinnej selwy. Na odcinku około trzystu kilometrów przemierza wszystkie strefy klimatyczne kuli ziemskiej: od mroźnej "Arktyki" po duszny i upalny tropik. Nigdzie indziej nie można spotkać tak dużej zmienności krajobrazowej i przyrodniczej. Na tych obszarach w 1995 roku rząd Boliwii utworzył rozległy park narodowy – Parque Nacional Madidi.

### Podróż, czyli fiesta

Jest! Większość z nas nie ciśnie się wcale do środka, ale na dach tego wysłużonego wehikułu, by umieścić tam swoje bagaże. Tymczasem znacznie przybyło Indian. Robi się coraz tłoczniej. Iwona i ja jesteśmy je-



dynymi obcymi – gringos, jak tu się nazywa białych. Większość Indian transportuje olbrzymie pakunki, pełne towarów takich jak cukier, mąka, owoce i warzywa – zaopatrzenie na najbliższe tygodnie.

Godzina za godziną przemierzamy monotonne Altiplano. Wewnątrz jednak nikt się nie nudzi, pełen folklor: śmiechy, śpiewy, tylko tańca jeszcze brakuje, dla nich ta podróż to święto. Do Pelechuco zjeżdżamy w nocy z przełęczy Paso de Pelechuco (4860 metrów) zmrożonymi serpentynami, na dole ciepło, ani śladu śniegu.

Po jednodniowym odpoczynku w "hoteliku" bez łazienki i elektryczności, jednak z bardzo miłymi gospodarzami i z patio – niepewni swojej przyszłości wyruszamy na szlak. Przed wyprawą próbowałem zdobyć mapy tego terenu, te jednak nie istnieją w żadnej użytecznej skali. Co prawda urzędnicy z Instituto Geografico Militar poinformowali mnie, że są w stanie takie mapy przygotować, jednak to by kosztowało i potrwało tydzień do dwóch, zdecydowałem się więc oprzeć tylko na opisie Yossiego. Zrezygnowaliśmy również z proponowanego nam przewodnika;



pragnienie polegania tylko na sobie zwyciężyło.

### Powaleni pięknem

Droga z Pelechuco do Queary jest bardzo czytelna, często wykorzystywana przez mieszkańców tej ostatniej, do zaopatrywania się

w zdobycze cywilizacji dostępne w Pelechuco. Pnie się stromą doliną zamkniętą pięciotysięcznikiem i odbija w prawo na przełęcz. Sapiemy mocno, na plecach mamy dużo kilogramów, samego prowiantu na 12 dni, a przełęcz to około 4800 metrów – ostatnia wysokość, której jesteśmy pewni. Następnego dnia dwie-trzy godziny za przełęczą – prawdziwa uczta przyrodnicza i krajobrazowa. Stroma ścieżka prowadząca w dół schodzi na kolejne wypłaszczenia – półki. Na wysokości dwóch przepięknych jezior górskich w godzinach przedpołudniowych nie sposób nie zauważyć kondorów, bezszelestnie patrolujących swoje bezkresne włości. Wykorzystując wstępujące o tej porze prądy powietrza, krążą bez poruszania skrzydłami, wysoko nad stokami, wypatrując padliny. Tu też pojawiają się ponownie duże kępy traw, którymi pokryte są obszary puny. Zza załomów zboczy wznoszą się co chwila fragmenty cumulusów, by spowić nas przez moment w mgłę – to stały napływ







chmur z wilgotnym powietrzem znad dżungli.

Na kolejnej półce rozłożone są dwie zamieszkane zagrody, jakby zawieszane między lodowcami i dżunglą. Wokół nas dominuje kolor żółty, a w dole – żywa zieleń, w której trudno wypatrzeć zabudowania Queary. Powaleni pięknem nie chcemy iść dalej; nie wiemy jeszcze, że przez wiele dni ten scenariusz będzie się

powtarzał. Wbrew pozorom szlak nie wiedzie teraz tylko



w dół, jeszcze nieraz zmusi nas do ostrej wspinaczki. Tego jednak też nie wiemy i odpoczywając, obserwujemy kondory i kolibry, dosłownie na wyciągnięcie ręki.

### Ścieżka estetów?

Szlak z Queary do Mohos – w obu przypadkach to raczej kilka prymitywnych zabudowań a nie wioski – pokazuje, że Indianie lubią wysiłek i są wrażliwi na piękno przyrody, jak bowiem inaczej

wytłumaczyć jego dziwny przebieg? Raz po raz wspina się wysoko w otaczające góry, by zaraz potem zanurzyć się ponownie w dżunglę, która pokrywa dolne części dolin. Puna przeplata się

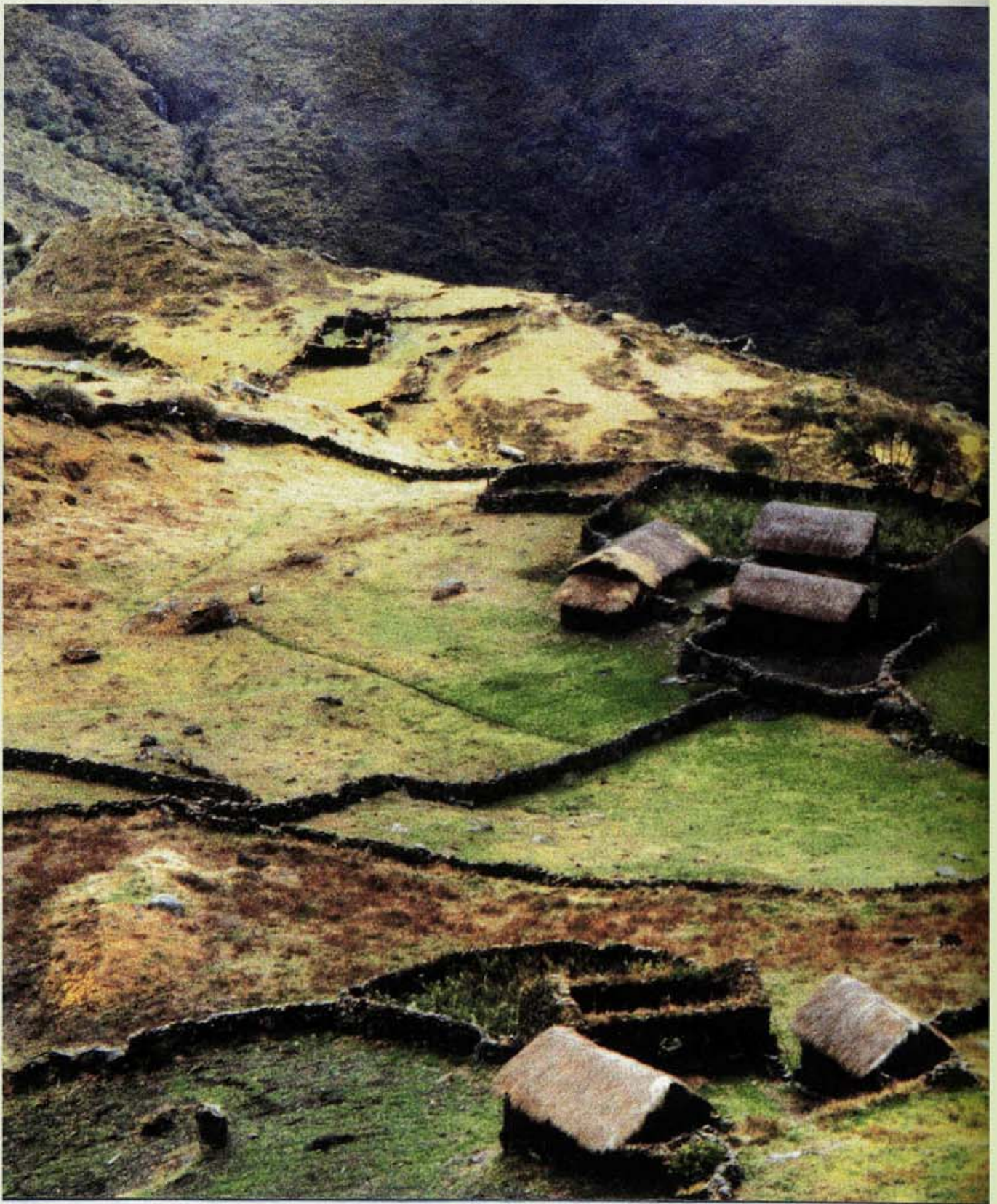
z roślinnością tropikalną, raz jest nam duszno i gorąco, raz marzniemy w podmuchach zimnego wiatru. W połowie drogi do Mohos wchodzimy w ciąg głębokich wąwozów, które zostały wyżłobione przez potoki w porze deszczowej spływające obficie stromymi stokami. W niektórych miejscach panuje zupełny półmrok. Powodem jest nie tylko baldachim, który tworzą wysokie partie dżungli, lecz także "stropy" zamykające wąwozy od góry, a będące korzeniami drzew i krzewów.

Docieramy do Mohos. Wszystko tu zbudowane jest z suszonej na słońcu gliny i pokryte strzechą. Charakterystyczną cechą osady jest wieża dzwonnicy, już od daw-

Te dzieci po raz pierwszy jadły czekoladę.







na nieużywana. Czas zatrzymał się tutaj dawno temu. Po kilku próbach udaje się nam zdobyć kiść bananów (o, jak bardzo nam smakowały) i miskę gotowanej juki. Dajemy dzieciom tabliczkę polskiej czekolady, lecz nie wiedzą, co z nią zrobić. Pomaga im matka. Myślę,

że jedzą czekoladę po raz pierwszy w życiu.

Czas ruszać dalej. Zostawiamy za sobą zabudowania Mohos i niezalesione stoki gór; odtąd dżungłę będziemy opuszczali, tylko wychodząc na dno doliny Queary. Ścieżka wiedzie nieco powyżej jej dna,

od czasu do czasu ginie na terasach zalewowych rzeki. Zmusza to nas do brodzenia w wodzie i szukania dalszej ścieżki nieco poniżej biegu rzeki. Tereny stają się jeszcze bardziej dziewicze, ścieżka jest tu rzadko używana, zarasta, przez trzy dni nie spotykamy ani jednego





Na kolejnej półce – dwie zagrody, zawieszane między lodowcem a dżunglą.

tubylca, widzimy za to ary, tukany, kolibry i mnóstwo innych ptaków, których nie jesteśmy w stanie zidentyfikować. Wśród krzaków przemykają aguti, a ponad głowami zwinnie uwijają się łatwe do rozpoznania czepiaki czarne. Na piaszczystej łasze rzecznej odnajduje-

my liczne – świeże i stare – ślady dorosłych jaguarów; wyraźny znak, że jest to ich stały wodopój. Mimo że już zapadał zmierzch i miejsce było wymarzone na obóz, oddaliśmy się pośpiesznie – jest nas tylko dwoje, nie mamy żadnej broni oprócz maczety, a dorosły

jaguar waży od 100 do 120 kilogramów.

W godzinach południowych, kiedy odpoczywamy na odkrytych nadrzecznych łączkach, obsiadają nas dziesiątki motyli; setki ich latają wokół. Po ziemi maszerują kowrody mrówek, niosących liście i owoce ważące wielokrotnie więcej niż one. Wśród nich postrachem są mrówki tygrysy, które – nie licząc odnóży – osiągają długość do 2,5 centymetra. Niektóre terasy zarosnięte są zagajnikami bambusowymi bądź wysokimi na sześć do siedmiu metrów trzcinami, wśród których czujemy się trochę... zminiaturyzowani.

### Po trzykroć – jeść!

W końcu wychodzimy z dżungli na obszar porośnięty krzewami. Przypuszczalnie został on kiedyś wykarczowany przez mieszkańców i teraz zarasta trudnym do przejścia, pełnym kolców buszem. Mocno i siarczyście klnę, wycinając w nim drogę, która ma doprowadzić nas do celu. Kolce ranią mi ramiona i przedramiona, długi rękaw koszuli nie daje żadnej ochrony, dopiero gruba chusta, którą obwiązałem rękę, przynosi ulgę. Wreszcie jest! Zagajnik bananowców.

Stąd prowadzi wyraźna ścieżka do małej wioski – Paty Tuichi, położonej już nad Rio Tuichi. Zostawiamy naszą wielodniową towarzyszkę – Rio Quearę – za sobą. Na wysokości Paty Tuichi musimy się przedostać na drugi brzeg Rio Tuichi, która sięga tu do ramion, a silny nurt wyklucza jakąkolwiek próbę przeniesienia bagaży. Jeden z mieszkańców Paty Tuichi przeprowadza nas przez rzekę (oddzielnie – a i tak kłęczymy trochę w wodzie) na związanych liną pięciu balach drzewa, które dumnie zwie balsą. Jeden dzień marszu – i przez Patę (to nie to sama wioska co Pata Tuichi) docieramy do Santa Cruz, pierwszej miejscowości od Pele-



chuco, w której są sklepy i która od niedawna jest dostępna dla wozów terenowych. Poświęcamy się tu trzem głównym zajęciom: po pierwsze – jedzeniu, po drugie –

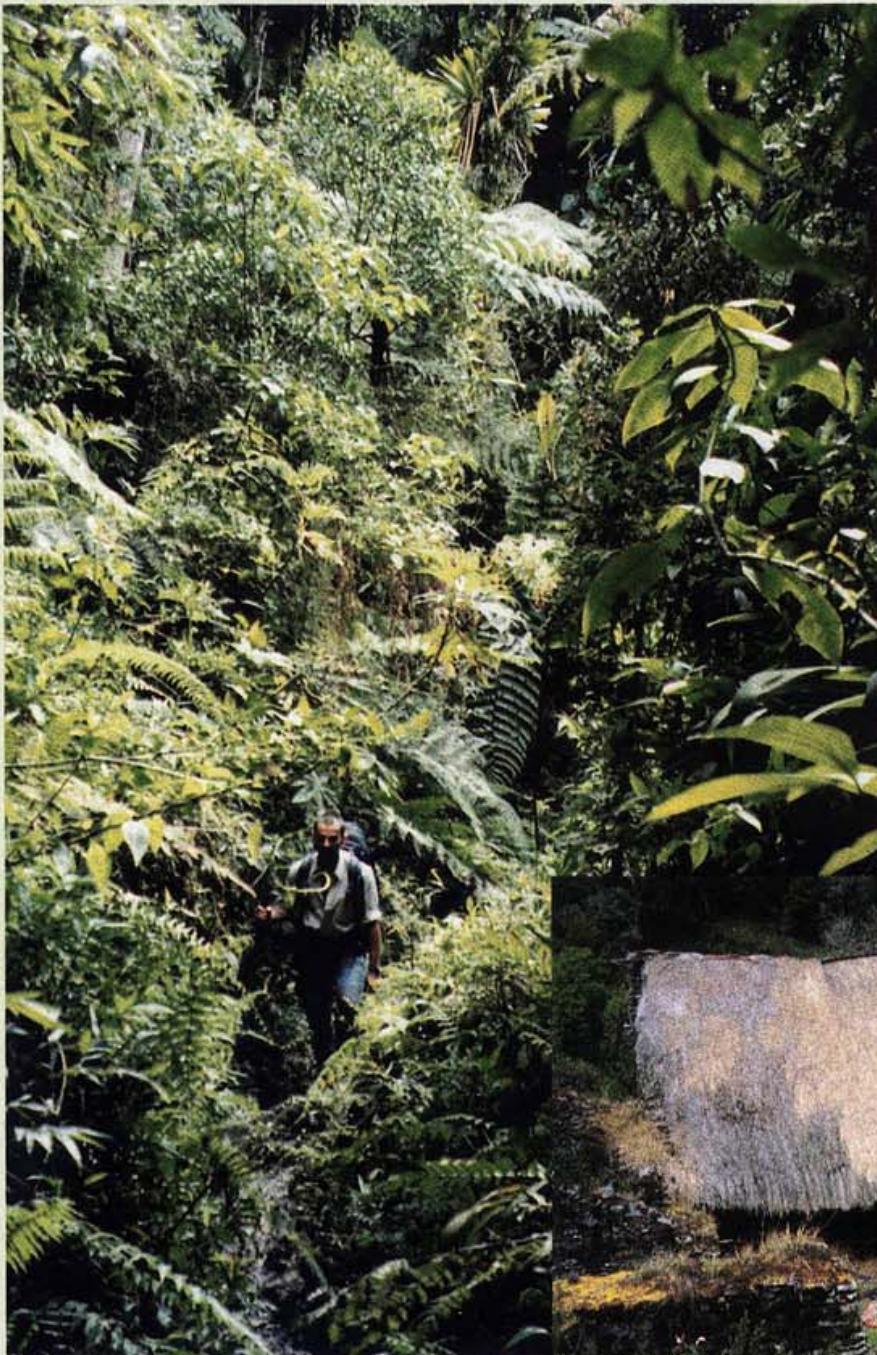
jedzeniu i na koniec... jeszcze raz jedzeniu.

Jeszcze jeden dzień drogi i przez wylesione i zerodowane wzgórza, które są przykładem ludzkiej bez-

myślności, docieramy do Apolo. Gleba w dżungli, mimo bogactwa tej drugiej, jest płytka i uboga. To dżungla z roku na rok dostarcza sama sobie elementów potrzebnych do rozwoju. Po wycięciu drzew, szczególnie na zboczach, postępuje szybka erozja gleby. To zapewne paradoksalne, ale na glebie, która potrafiła utrzymać bogatą florę dżungli, zbiory manioku są bardzo słabe.

Apolo nie jest miejscowością, w której warto zatrzymać się na dłużej, dlatego czym prędzej zapakowaliśmy się do jeepów i pomknęliśmy do La Paz. Apollo połączone jest z La Paz regularnie kursującymi jeepami, które czekają (dwa lub trzy) na chętnych na głównym placu. Kiedy już zbiorą pięć, sześć osób wyruszają – godzinę odjazdu określa opłacalność, a nie zegar. Jeśli brak chętnych, jeep nie jedzie. Droga jest przepiękna, warta odbycia dla niej samej, choć kilka razy, mimo pory suchej, miałem wątpliwości, czy uda się nam dojechać do La Paz.

**Tekst i zdjęcia  
PIOTR OPACIAN**



Czujemy się trochę... zminiaturyzowani.

